

„Głos Narodu“ ilustrowany.

Nieco o „Harmonii“.

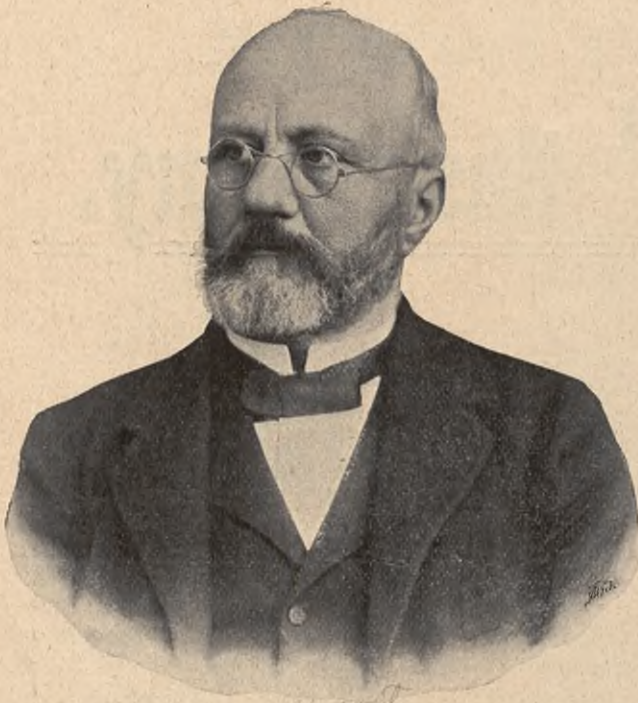
»Harmonia«, a właściwie Towarzystwo przyjaciół muzyki krakowskiej »Harmonia«, istnieje w Krakowie od lat jedenastu. Celem Towarzystwa jest utrzymywanie orkiestry cywilnej i szkoły muzycznej. Przez pierwsze lata istnienia stał na czele wydziału Dr Henryk Jordan, którego nazwisko łączy się w Krakowie z powstaniem i rozwojem licznych i pożytecznych instytucji. Osobiste

poręce Dra Jordana zawdzięczała »Harmonia« fundusze na sprawienie pierwszego inwentarza, jego zachęta i przykład wpłynęły na całe grono osób, które instytucji wśród zmiennych kolei losów nie dały upaść, lecz zabiegami i energią sprawiły, że »Harmonia« obecnie bez długów i zobowiązań rozwija się pomyślnie i rokuje jak najlepsze nadzieje. Jeżeli tedy o założycielu »Harmonii«, jako o jednostce, ma być mowa, to miano założyciela przedewszystkiem Drowi Henrykowi Jordanowi przypisać musi w udziale. Miejski



Orkiestra Towarzystwa przyjaciół muzyki krakowskiej „Harmonia“.

Dodatek bezpłatny do „Głosu Narodu“ z dnia 11 stycznia 1902 roku.



Prof. Dr H. Jordan.
Założyciel Towarzystwa »Harmonia«.

park Dra Jordana jest w lecie prawie jedynym miejscem produkcji orkiestry przez Towarzystwo utrzymywanej. Tutaj za wstępem w kwocie 10 halerzy od osoby dorosłej odbywają się od kilku lat t. zw. popularne koncerty »Harmonii«, gromadzące w parku liczne zastępy Krakowian w każdą niedzielę i święto. Tutaj liczny, bo przeszło dwutysięczny, zastęp członków Towarzystwa ma sposobność śledzenia postępów swojskiej orkiestry, która od chwili swego powstania do chwili obecnej, zwalcza skutecznie przesąd, że tylko obce nam orkiestry wojskowe są w stanie uczynić zadość wymaganiom publiczności.

Od dwóch lat do chwili obecnej stoi na czele Towarzystwa p. Edmund Klemensiewicz. Jako instytucja o charakterze narodowym, musiało Towarzystwo poszukać sobie kierownika w gronie tych mężów, którzy życiem i udziałem w doniosłych wypadkach naszej przeszłości dają rękojmię, że tradycje przeszłości połączą z wymaganiami chwili obecnej. Te względy kierowały członkami Wydziału, gdy prezesem wybierali obywatela, powszechnym szacunkiem otoczonego, znanegoz energii i doświadczenia — a, że wybór był trafny, że rządy »Harmonii« dostały się w odpowiednie ręce, o tem świadczy nietylko znaczne zwiększenie się orkiestry, lecz nadto świadczą wymowne cyfry z ostatniego rocznego sprawozdania, które właśnie wyszło w druku. Oto Towarzystwo liczy obecnie 2139 członków, posiada majątek w kwocie 13.660 koron, w tem fundusz żelazny w kwocie 6.729 koron. Członkom orkiestry wypłaciło Towarzystwo w roku 1901 kwotę przeszło 16.000 koron, nauczycielom i kapelmistrzom kwotę 2.278 koron.

W skład Wydziału »Harmonii« wchodzi grono obywateli różnych zawodów i różnych sfer społecznych. Wszystkich jednocześnie jedna myśl, aby dla miasta utrzymać orkiestrę niezawisłą od za-

rzędzeń komendy wojskowej, aby obok orkiestry utrzymać szkołę muzyczną dla młodzieńców chętnych i uzdolnionych, którym muzyka ma w przyszłości zapewnić — jeżeli nie utrzymanie całkowitego — przynajmniej przyzwoity dochód uboczny.

Sala prób »Harmonii« znajduje się w gmachu starego teatru, gdzie przedsiębiorca krakowski, p. Bujas, własnym kosztem urządził parterowe ubikacje dla celów orkiestry. Zdjęcie, dokonane specjalnie dla naszego pisma, przedstawia salę prób »Harmonii« podczas posiedzenia Wydziału. Tło stanowi jedna ze ścian sali: obok obrazu Matki Boskiej Częstochowskiej, herbów Polski i Litwy, zdobi salę »Lituania« Grottgera, którego rodzony brat od kilku lat zasiada w gronie członków Wydziału Towarzystwa.

Obecne pomieszczenie »Harmonii« jest wcale nieodpowiednie: ciasnota, wilgoć i szczury niszczą inwentarz — nic też dziwnego, że na dnie serca każdego przyjaciela instytucji spoczywa myśl budowy własnego schronienia; brak dostatecznego poparcia i bezwzględne protegowanie orkiestr wojskowych przez pewną część miejscowej publiczności wysuwają tę myśl na plan dalszy, zmuszając zarząd »Harmonii« przedewszystkiem do starania, aby instytucji nie dać upaść.

Kapelmistrzem orkiestry »Harmonii« jest od trzech lat Krakowianin, p. Stanisław Czyżowski, b. uczeń tutejszego i wiedeńskiego konserwatorium. Od dwu lat wyjeżdża część orkiestry smyczkowej na sezon do Zakopanego, gdzie produkcjami w parku i zakładzie Dra Chramca kieruje p. Czyżowski. Dla pozostałej w Krakowie części orkiestry zjednał Wydział Towarzystwa, jako dyrygenta, p. Antoniego Langerę, kierownika orkiestry salinarnej w Bochni, znanego w kraju kompozytora wdzięcznych utworów tanecznych i orkiestralnych. P. Langer, muzyk wytrawny i doświadczony, niejedną korzystną zmianę wprowadził w »Harmonii«. Jego myślą było wydanie wybornej szkoły na skrzypce, opartej na melodych narodowych, która wydana staraniem i nakładem »Harmonii«, znajduje licznych zwolenników pośród



Edmund Klemensiewicz.
prezes.



Stanisław Czyżowski.
Dyrygent orkiestry »Harmonii«.

nauczycieli muzyki. Pieśni narodowe w układzie p. Langer'a na orkiestrę ukazały się również w druku nakładem »Harmonii«, a niebawem zabrzmią w krakowskich kościołach kolędy, również przez p. Langer'a dla orkiestry instrumentowane, których wydanie drukiem jest w projekcie.

Zróżdłami dochodów Towarzystwa są w pierwszym rzędzie wkładki członków (członkowie zwyczajni opłacają rocznie 2 kor. 40 h.), subwencje Gminy i Kasy Oszczędności, a od trzech lat także skromna subwencja ze strony Sejmu krajowego.

Kto z Czytelników radby bliżej poznać organizację orkiestry, zechce zgłosić się do Towarzystwa i podać swój adres; szczegóły gospodarki z roku

ubiegłego zawiera 10-te roczne sprawozdanie Wydziału, które członkom Towarzystwa właśnie rozesłano.

Zamówienia orkiestry na festyny i zabawy domowe i publiczne przyjmuje skarbnik Towarzystwa, p. Antoni Piwarski (księgarnia muzyczna, ulica św. Jana 3).



A. Langer.
Dyr. orkiestry salinowej w Bochni.

O mowę polską.

Znamieniem zewnętrznym odrębności i spójności narodu jest jego język. Dźwięki, wyssane niejako z mlekiem matczynym, towarzyszące dziecięciu od pierwszych pieszczot, pierwszych baśni i śpiewów, potem stają się najdroższym skarbem człowieka, służącym mu do wymiany myśli i uczuć z siłą, wiernością, intensywnością, jakiej nigdy nie da język obcy, choćby najlepiej wyuczony. Język najściślej zrasta się z indywidualnością narodu, staje się poniekąd jego symbolem. Fakt, że pewne narody posiadają jakieś wyrazy, których inne nie mają, a często ich nawet przetłumaczyć nie zdołają, świadczy, że dany naród ma pewne uczucia i pojęcia, których drugi nie posiada, że jest zatem odrębny, inny. Polak nie potrafi więc być po niemiecku *gemüthlich*, Niemiec zaś nie będzie, jak Polak, oby w a t e l e m (*Bürger* oznacza co innego). Stąd strzeżenie czystości języka jest częstokroć jednoznaczne ze strzeżeniem odrębności i jednolito-



Posiedzenie Wydziału Tow. „Harmonia“.
(Specjalne zdjęcie przy świetle magnezjowym dla naszego pisma).



Wnętrze sali Sejmowej we Lwowie w chwili rozpoczęcia posiedzenia dnia 28. grudnia.
(Specjalne zdjęcie dla naszego pisma, fot. A. Goldhammer).

ści narodu. Moskwiczenie, germanizacja oznaczają na razie narzucenie języka najeźdźców; za mową pójdą już same przez się uczucia i myśli wrogie polskości, naród pozbędzie się swego »ja«. Stąd walka o język...

A my w Galicji ten język szpecimy, kaleczymy, szarpiemy na strzępy i okrywamy je łętami z obcych języków tak gęsto, że w tej pstrokaciznie gubi się nietaz duch jego i istota.

...»Wybaczcie mi te moje *enuncjacje*, które nie mają *ofensywnego* przeciw Wam zamiaru. Nie *reflektuję* na to, żebyście uwagi moje konieczne drukowali — i nie będę tego uważał za *zdemontowanie*, ani *zdezautuowanie* mnie, jeżeli to pisanie moje *zdyskwalifikujecie* i rzucicie do kosza, gdzie już pewnie dużo *prekursorów* jego spoczęło«...

Oto dowcipna próbka stylu, do którego dzienniki tak nas już przyzwyczały, że przestajemy się mu dziwić, że staje się on poniekąd koniecznością, cechą wyższej inteligencji.

Zatrata swego ja — cechą inteligencji wyższej...

Przeciw zachwasczaniu języka oddawna występują miłośnicy jego i patryoci, dbali o dziedzictwo naszego ducha; jednym z ostatnich walczących w tym szeregu był ś. p. Józef Bliżynski, komedyopisarz, którego utwory odznaczają się wzorową, rdzenną polszczyzną i który książeczką »Barbaryzmy i dziwolagi językowe« (Kraków, Gebethner itp. 1888) rzucił rękawicę najbardziej nadżyciom praw i ducha mowy polskiej. Najwięcej na tem polu grzeszą dziennikarze i oto mały bukiet z łętów naszych czasopism, ułożony przez Bliżynskiego: *Adaptacja, afiliować, agnoskować, agrawować, agresywny, akma, ambarkować się, ambregonować, ambicyusz, analfabeta, aparycja, aprecjacja, arferowanie, atelier, aubligować, auryczny, auspicje, awacya, awityczny, agenda, arogować, autorytatywanie* — słówka te tylko zaczynające się pierwszą literą abecadła, a już wonne i sympatyczne, że Polak, wychowany już nie na Kochanowskim i Skard-

dze, ale bodaj na Mickiewiczu i Słowackim, dostanie od nich zawrotu głowy i będzie musiał gazetę polską czytać przy pomocy słownika...

Obce wyrazy — to dopiero ułamek naszych grzechów językowych. A jest ich cała litania — ogromna — bez końca. Więc forma i szyk wyrazów zupełnie obce — więc prowincjonalizmy śmieszne i niepoprawne — więc odmiana wyrazów błędna i niedbała, więc zwroty i konstrukcje, żywcem wzięte z języków obcych (c. k. »kawałki« biurokratyczne i »Schimmler« urzędowe się kłaniają!) — wszystkie te zboczenia i nadużycia tak zachwaszczają naszą mowę językową, że czas już był najwyższy, aby ktoś powstał z energicznym: wara! — z misją nawoływania do poprawy, wskazywania błędów, podawania rad i wskazówek...

Taki ktoś się znalazł. Jest nim prof. Roman Zawiliński. Redagowany przezeń »Poradnik językowy, miesięcznik, poświęcony poprawności języka« (Kraków, ul. Karmelicka 22), rozpoczyna właśnie drugi rok istnienia.

Program i charakter pisma na najwyższe zasługuje uznanie.

»Poradnik językowy« objaśnia w sposób przystępny zjawiska językowe, przypomina zasady i prawa, rządzące językiem, usuwa wątpliwości w poprawnem użyciu języka, prostuje błędy pospolite — a to zapomocą: podawania artykułów ogólnej treści z językoznawstwa ogólnego i historii języka polskiego, odpowiedzi na nadesłane zapytania, dyskusji w kwestjach wątpliwych, oceny języka w dziełach i czasopiśmie, polecenia wyrazów polskich w miejsce obcych, określenia granic w tworzeniu wyrazów nowych, zbierania do skarbniicy językowej zapomnianych wyrazów, dawnych i nieznanych wyrazów ludowych, chłostania satyrą w »krotochwilach językowych« niezdarnych napisów i ogłoszeń.

Kto chwilę wątpił o potrzebie, ba! — konieczności takiego organu językowego w Galicyi, ten niech przeczuci uważnie numer wielkiego dziennika polskiego lub kilka aktów władz polskich, mających od przeszło 30 lat sposobność do poznania tajemnic gramatyki Małeckiego. »Poradnik« zaprowadził rubrykę »Krotochwile językowe«, której treść mogłaby objawy najszczerzej wesołości wywoływać, gdyby nie była tak smutną. Czy nie są wesołe takie n. p. krotochwile językowe:

1. Pewna dyrekcyja urzędni naczelnego we Lwowie wydała niedawno następujący

Okólnik

Ponieważ na rok 1902 nie będą wydawane nowe karty legitymacyjne kolejowe z miennej(?) formy, przeto dla szybszego załatwienia, upraszam o tych Panów, którzy w bieżącym roku 1901 nie będą potrzebowali korzystać z kart legitymacyjnych, z a ż a d a ć t e l e g i t y m a c y e i c o r y c h l e j p r e s t a ć tutejszej Dyrekcyi do prolongaty na rok 1902.

C. k. Dyrektor.

2. W drukarni p. A. Koziańskiego w Krakowie wyszedł mały afisz, pouczający o utrzymaniu w porządku wodociągów. Oto »piękniejsze« ustępy wspomnianego afisza:

1. Utrzymanie czysto zlewów, closetów, łazienek, odpływów i dopływów tj. (kurków), a tem zapobiega się zatkanii i wydzielin niezdrowych.

2. Przy każdym zlewie, muszli, łazience, closecie znajdują się syfony tj. hermentyczne (*sic*) zamknięcia, które od czasu do czasu powinny być czyszczone, otworem na ten cel przewidzionym (a śrubą mosiężną zakręconym), główne syfony są przy pionowej każdej rurze w piwnicach lub suterynach (*sic!*), które również powinny być czyszczone.

Zachowując to powyższe obchodzenie się z wodociągiem, niepotrzebne są na przyszłość reperacye.

Wyjęliśmy ustępy pierwsze lepsze, a jest ich moc, legion, z pod pióra władz, ludzi z uniwersyteckiem wykształceniem — cóż się więc dziwić jakiemuś ubogiemu na duchu wójtowi ciemnej wioski, który wydaje w następującej formie pozwolenie na pozostawienie szynkowni otworem po godzinie policyjnej:

Ze strony Zwierzchności gminnej pozwala się szynkarzowi bez czas — takie pozwolenstwo, kto przyjdzie, a bendzie kcioł czy wódki czy bońc aby był wolny od kontroli — dla muzyki to nie, to się pozwala do godziny 2-giej po północy.

pieczęć — wójt.

Walka z podobnemi bzdurstwami, dochodzącymi nieraz do idyotyzmu, to po prostu obowiązek narodowy, podobnie, jak obowiązkiem jest walka z wrogiem, występującym mniej jaskrawie, mniej na pozór niebezpiecznie, szerzącym jednak przez to właśnie więcej spustoszenia i szkody: z niedbałością i nieczystością języka w mowie po-



Ksiądz wikary K. Laskowski we Wrześni.

toznej, w dziennikach i życiu codziennem. W tym kierunku nader użyteczną jest korespondencya, wymiana myśli, którą znajdujemy w »Poradniku«. Wyjaśnia ona mnóstwo kwestyj spornych co do pochodzenia wyrazów, co do ich znaczenia, co do składni i budowy zdań — a z lektury tej każdy, dbający o czystość mowy ojczystej, niewątpliwy odniesie skutek.

Wiemy dobrze, że na polu odchwaszczania niwy językowej, jak w każdym dziele ludzkim, są skrajności, przesady, przechodzące nieraz w manię śmieszłą lub szkodliwą. Nie jesteśmy też zwolennikami »czystości« tak pojętej, że przeradza się w pewne skostnienie, w skamieniałość. Język, jako organ życia narodu, wraz z tym narodem ulega rozwojowi, a smutno byłoby, gdyby się nie doskonalił. Pierwszym warunkiem — zmiana i asymilacya. Stawanie w poprzek wszelkim zmianom i przyswajaniom sobie użytecznych pierwiastków z zewnątrz prowadzi do zacoiania i martwoty. Wzbogacajmy jednak język podług praw ducha jego własnych i jemu tylko właściwych; wzbogacajmy jego skarbiec o ile możliwości wyrazami z głębi jego istoty, przechowanej w warstwach ludowych — a będziemy sobą, a nie zatracimy nic z tej tarczy i jedności, którą jest narodowa mowa.

Bronimy jej krwią i męką serdeczną przeciw obcym — bronimy jej także przeciw wrogom wewnętrznym. Do czego dojdziemy, jeśli wyrobimy sobie gwarę prusko-polską, przesyconą germanizmami, »przywiślańską« — ohyda! — przepojoną rusycyzmami i »galicyjską«!?

Jeden naród — i jeden język. Duch to i ciało — organizm wspólny, z którego władz i skarbów nic nam uronić nie wolno!

Zoil.



Nowa hala targowa w Podgórzu.

Hala targowa w Podgórzu.

Z inicjatywy c. k. starosty, hr. Edwarda Starzeńskiego i za staraniem pp. Franciszka Maryewskiego, burmistrza, oraz Szczepana Kaczmareckiego, wiceburmistrza miasta wykończono obecnie w Podgórzu okazały budynek, przeznaczony na halę targową. Budynek, na rycinie przedstawiony, został wybudowany według planów miejskiego architekta, p. Kryłowskiego, z uwzględnieniem wskazówek fachowych c. k. starszego lekarza powiatowego, p. Mieczysława Dembowskiego i c. k. weterynarza powiatowego, p. Zygmunta Fertiga. Budynek o trzech frontach od ulicy Kalwaryjskiej, 3-go Maja i ulicy Kołłątaja mieści w sobie obszerną halę targową z 71 sklepami; w piwnicach urządzono chłodnię dla mięsa i halę maszyn dla sztucznego oziębiania powietrza. Niezaprzeczenie jest to niemała zasługa reprezentacji miasta Podgórze, że pierwsza w kraju i znacznym kosztem 120.000 Koron wystawiła budynek na halę targową, odpowiadający najnowszym wymogom, który przyczyni się do polepszenia stosunków zdrowotnych w mieście, przez zaopatrzenie mieszkańców w mięso zdrowe, czyste i smaczne, oraz do podniesienia przemysłu rzeźnianego i masarskiego. Mamy niepłoną nadzieję, że za przykładem miasta Podgórze tego rodzaju hale targowe staną w stolicach i innych miastach kraju.

Związek artystów polskich w Krakowie.

Oddawna dało się odczuwać przeżycie nieustających wystaw naszych, które niczem nie interesowały ani artystów, ani prasy, a co najmniej publiczności. Od dawna, za granicą otwarte »Salony« lub »doroczne wystawy« gromadziły doborową zdobycz artystów, dla których urzędowe medale były nagrodą za ich doniosłą pracę. Od dawna wszystkie narodowości postarały się o swe słuszne kulturalne miejsce na wystawach międzynarodowych, niestety, jedynie Polska, z karty Europy wykreślona, uznania nie znalazła i mimo swej żywotności i siły promieniącej, skutkiem

braku koniecznej organizacji, stoi zawsze wyłączona z zapasów międzynarodowych jako całość, bieży samotnie.

Aby temu zapobiedz powstała na razie idea, na celu mająca skupić wszelkie siły artystów polskiego rozpromienione nie tylko po całej Polsce naszej obozach, ale skupić w jedno ognisko całą sztukę naszą, sięgającą aż po za granice Ojczyzny. Zebrało się tedy liczne grono artystów zamieszkałych w Krakowie na d. 30 grudnia 1901 r., celem urządzenia doborowej, a dorocznej wystawy w Krakowie. Dalszym planem tego zebrania jest wystanie zgromadzonego, a przedewszystkiem wykwiutnego zbioru tego do Paryża, Monachium i Wiednia. Inicytorowie odnieśli się

do Dyrekcyi Tow. Przyj. Sztuk Pięknych, aby najlepsze dzieła przez to Towarzystwo nagrodzone były medalami a grono artystów zostawia sobie prawo odznaczenia najlepszego dzieła »honorowym podziękowaniem«.

Na niedzielnym posiedzeniu dnia 5. b. m. dyrekcyja Tow. Przyj. Sztuk Pięknych wnioski artystów przyjęła z zupełnym uznaniem a prezes Edward hr. Raczyński gorąco zajął się tą żywotną sprawą. W tym jeszcze tygodniu zbierze się ponownie to grono artystów, inicytorów, by organizacji swej uadać ciało; pierwszym zadaniem przyszłego posiedzenia będzie ogłoszenie odezwy do ogółu artystów.

Każdą czynność tej doniosłej działalności mającą na celu danie dowodów żywotności narodu i sztuki naszej, podawać będziemy w naszym piśmie.

Ks. K. Łaskowski.

Jesteśmy w szczęśliwym położeniu, że możemy reprodukować jedyną jaka istnieje fotografię, czcigodnego kapłana z Wrześni ks. Łaskowskiego, który spokojną a energiczną obroną praw kościoła i narodowości polskiej przed trybunałem gnieźnieńskim powszechny mir uzyskał. Ks. Łaskowski jest to prawdziwy kapłan polski, których oby w Poznańskim było jak najwięcej!

Moje słońce.

Jedno znam słońce, co świeci tak jasno,
Te dla mnie wszystkie słońca przed niem gasną.

Słońce to moje w purpurze nie wschodzi,
Zradnie się wślizga i skrada jak złodziej.

W poranki ciche, w zmierzchy napółsenne,
Świeci mi w duszy smutne bezpromienne,

I choć uciekać chciałbym w dal, bez końca,
Uciec nie mogę od mojego słońca.

Ono w mem własnem sercu się szamota,
Mojemu sercu na imię — tęsknota.

Jan Iwański.

R. L. STEVENSON.

NOWE NOCE ARABSKIE.

I. Klub samobójców.

Opowieść o młodzieńcu, roznoszącym ciastka.

Ciąg dalszy.

Wiek mój nie ma tu żadnego znaczenia. Pochodzę od moich przodków, ot w zwykły sposób i po nich odziedziczyłem bardzo piękny dom mieszkalny, w którym ciągle jeszcze przebywam, a oprócz tego trzysta funtów rocznego dochodu. Przypuszczam także, że pozostawili mi po sobie umysł lekkomyślny, którego kaprysom często się poddaję bez skrępowań. Otrzymałem dobre wychowanie. Gram na skrzypkach dość dobrze tak, że mógłbym coś zarobić w jakiej trzeciorzędnej kapeli, a i to nie jest pewne. Wyuczyłem się dostatecznie grać w winta, żeby mózgi puścić sto funtów rocznie na opędzenie kosztów tej umiejętniej gry. Moja znajomość francuskiego języka była dość znaczna tak, że mogłem z tąsamą niemal łatwością, co w Londynie, trwonić pieniądze w Paryżu. Słowem, widzicie we mnie człowieka pełnego zdolności i znakomitych przymiotów. Miałem przeróżne przygody, w które należy również wliczyć pojedynki, nie wiedząc za co stoczony. Przed dwoma miesiącami dopiero spotkałem się z kobietą zupełnie odpowiadającą pod względem ducha i ciała mojemu smakowi, czułem, że serce mi topnieje, spostrzegłem, że w końcu trafiłem na los mój i byłem na drodze do zakochania się bez pamięci. Lecz, kiedy zacząłem obliczać resztki kapitału, przekonałem się, że mam zaledwie jeszcze czterysta funtów! Pytam się panów — czy może człowiek, rozporządzający czterystoma funtami zakochać się na dobre? Oczywiście nie. Doszedłszy do tego przekonania, uciekłem od czarującej mojej przyszłej i powoli, przyspieszając rozwój wydatków, doszedłem dziś wreszcie do samego dna, to znaczy do ostatnich ośmdziesięciu funtów. Podzieliłem je na dwie równe części, czterdzieści zachowałem na nieprzewidziany wypadek, drugie czterdzieści miałem roztrwonić aż do nocy. Przepędziłem dzień w sposób bardzo miły i więcej fars, niż widzieliście, odegrałem, albowiem postanowiłem szalonemu życiu równie szalony położyć kres: a kiedy widzieliście, jak rzuciłem sakiewkę, owe czterdzieści funtów były wyczerpane. Otóż teraz znacie mnie tak, jak ja znam siebie; jestem szaleńcem, lecz szaleńcem konsekwentnym, a przytem pragnąłbym, abyście uwierzyli, nie jestem ani sknerą, ani tchórzem.

Z całego toku opowiadania młodego człowieka widocznym było, że niewielkim szacunkiem darzył własną swoją osobę. Słuchacze jego oczywiście natychmiast pomyśleli, że owa sprawa miłosna bardziej mu przyrosła do serca, niżby chciał okazać, i że pragnie kres położyć swemu życiu. Owa komedia z ciast-

kami zaczęła wobec tego przybierać wyraz tragedji ukrytej.

— Jakże, czyż to nie dziwaczenie, wybuchnął Geraldine, zamieniając szybko spojrzenie z księciem Florizelem, że trzech ludzi schodzi się przypadkiem wśród tej dziczy londyńskiej, a okazuje się w końcu, że wszyscy trzej są w tem samym położeniu?

— Jakto?, — zawołał młody człowiek. Czy i panowie jesteście zrujnowani? Czy ta wieczerza, podobnie jak moje ciastka, jest także tylko szaleństwem? Czy sam szatan sprowadził ostatnie swoje trzy ofiary na biesiadę pożełną?

— Szatan, proszę mi wierzyć, nieraz może wpaść na pomysł wielkoduszny, rzekł książę Florizel; a ja tak dalece wzruszony jestem tym zbiegiem okoliczności, że jakkolwiek nie w zupełności temsamem jesteśmy położeniu, to gotów jestem krew położyć tej nierówności. Niechaj bohaterskie darzenie ciastkami szanownego pana świeci mi przykładem.

To rzekłszy, książę wydobyl ze swojej sakiewki drobną paczkę banknotów.

— Jak pan widzi, wyprzedziłem pana o cały tydzień, lecz teraz chce pana dogonić i opręć się o pana samem sumieniem. To mówiąc, położył jeden bilet na stole, — Wystarczy na wyrównanie rachunku. Co do reszty...

Rzucił je w ogień, papierki zaś jasnym płomieniem strzeliły ku górze.

Młody człowiek usiłował powstrzymać go za rękę, lecz ponieważ dzielił ich stół, więc było zapóźno.

— Nieszczęsny człowieku! — zawołał, nie trzeba było palić ich wszystkich na raz! Trzeba było zachować czterdzieści funtów.

— Czterdzieści funtów! powtórzył książę. Dlaczego, na Boga, czterdzieści funtów?

— Dlaczego nie ośmdziesiąt? zawołał pułkownik; albowiem, ile wiem, musiało tam być w tej paczce ze sto.

— Trzeba mu było tylko czterdziestu, rzekł młody człowiek ponuro. Lecz bez nich nie masz nadziei wstępu. Reguła jest ściśła. Każdy płaci czterdzieści funtów. Przekłęte życie, skoro nie można nawet umrzeć bez pieniędzy!

Książę spojrział na pułkownika.

— Proszę nam wyjaśnić, rzekł pułkownik. Mam jeszcze dostatecznie wypchany portfel, i zbytnio zapewniać, z jaką ochotą podzielę się z Godallem. Lecz muszę wiedzieć, w jakim celu: musi nam pan powiedzieć, co ma na myśli?

Młody człowiek ocknął się; spoglądał nieprzytomnie i nieufnie to na jednego, to na drugiego, a twarz pokryła mu się silnym rumieńcem.

— Czy nie szycie ze mnie przypadkiem? zapytał. Czy istotnie jesteście zrujnowani, jak ja?

— Co do mnie, zapewniam, rzekł pułkownik.

— A co do mnie, rzekł książę, dałem panu dowód. Któż, prócz zrujnowanego człowieka, rzuciłby pieniądze swe w ogień? Czyn mówi za siebie.

— Zrujnowany człowiek — tak, odrzekł tamten podejrzliwie, — albo też milioner.

— Dość panie, rzekł książę; tak powiedziałem, że nie zwykłem znosić powątpiewania, ilekroć idzie o moje słowa.

— Zrujnowany? rzekł młody człowiek. Czy pan tak zrujnowany jak ja? Czy, po życiu spędzonym na rozpuście, doszedł pan do tego punktu, na którym jedna jeszcze tylko rozpusta jest możliwa? Czy pan — mówił to przyciszone głosem — czy pan ma zamiar pozwolić sobie na tę ostatnią rozpustę? Czy ma pan zamiar uniknąć następstw swego szaleństwa za pomocą jedynego nieomylnego sposobu? Czy ma pan zamiar dać umilknąć głosowi sumienia?

Urwał nagle i usiłował się wyśmiać.

— Oto za wasze zdrowie! — zawołał i wychylił szklanicę — i dobrej nocy wam, weseli zrujnowani ludzie.

Pułkownik Geraldine schwycił go za ramię, gdy chciał powstać i wyjść.

— Nie ufasz nam pan, rzekł, i nie dobrze czynisz. Na wszystkie pańskie pytania odpowiadam twierdząco. Lecz nie jestem tak nieśmiały i mówię wyraźnie. My również dość już mamy tego życia i postanowiliśmy umrzeć. Wcześniej czy później, samotnie czy w towarzystwie — to obojętne. Odkąd zaś spotkaliśmy pana, przyspieszyliśmy chwilę stanowczą, albowiem sprawa pana nie znosi zwłoki. A zatem dziś w nocy — i to naraz — i, jeżeli pan chce, wszyscy trzej razem. Taka trójka bez grosza, zawołał, powinna ręką w rękę podążyć do pałaców Plutona i podtrzymywać się wzajemnie wśród tłumy cieniów!

Geraldine uderzył właśnie w ton, który najlepiej odpowiadał jego roli. Sam nawet książę zmieszał się i spojrzał na swego towarzysza z odcieniem wątpliwości na twarzy. Młody zaś człowiek znowu pokrył się głębokim rumieńcem, a z oczu tryskały mu iskry.

— Tak mi się podobacie! — zawołał, z dziką niemal wesołością. Podajcie mi rękę na zawarcie ugody! (ręka jego była zimna i wilgotna). Nie wiecie jeszcze w jakim towarzystwie rozpoczniecie tę ostatnią wędrówkę! Nie wiecie, w jak szczęśliwej dla was chwili przyjęliście moje ciastka! Jestem tylko jednostka, lecz jednostką, członkiem armii całej. Znam poufne mieszkanie śmierci. Jestem jednym z jej zauszników i mogę posłać was na wieczny odpoczynek bez ceremoniałów, ale i bez skandalów.

Zażądali, żeby im wytłomaczył, co myśli.

— Czy możecie znaleźć jeszcze osmdziesiąt funtów? zapytał.

Geraldine przesadnym ruchem jął badać wnętrze sakiewki i odpowiedział twierdząco.

— Szczęśliwe istoty! zawołał młody człowiek. Czterdzieści funtów wynosi wkładka wpisowa do Klubu samobójców.

— Klub samobójców, rzekł książę, cóż to u licha jest takiego?

— Posłuchajcie, rzekł młody człowiek: wiek nasz, jest wiekiem wygody, a to, o czym mówię, jest ostatnim szczeblem rozwoju w tym kierunku. Mamy interesy w rozmaitych miejscach, więc wynaleziono koleje żelazne. Ale i koleje żelazne niechybnie nazbyt dzieliły nas od przyjaciół; więc wynaleziono telegraf, aby można szybko porozumieć się na wielką odległość. Nawet w hotelach mamy windy, które bez trudu przenoszą nas na wysokie piętra. Otóż wiemy, że życie jest tylko sceną, na której człowiek odgrywa rolę błazna, jak długo mu się podoba. Otóż tutaj brakło jednej wygody dla dopełnienia miary: mianowicie nie było przyzwoitego i łatwego sposobu zejścia ze sceny; nie było tylnych schodków, wiodących ku wolności, albo też jak powiedziałem przedtem, nie znano drzwiczek, wiodących do poufnych apartamentów śmierci. Temu zapobiedz ma właśnie, Towarzysze moi, Klub samobójców. Nie sądzicie, że wy jedni jesteście tacy, albo, że jesteście wyjątkami. Wielka ilość naszych bliźnich zupełnie już znużonych ustawicznym odgrywaniem tej samej roli przez całe życie, pozostaje na ziemi dla kilku drobnotek, które nie pozwalają im zerwać nici. Niektórzy mają rodziny, które byłyby narażone na przykrość, gdy sprawa się wyjawia; inni cierpią na serca i wzdragają się przed nieuniknionymi przygotowaniami do śmierci. Takie jest właśnie moje doświadczenie w tych sprawach. Nie mogę sobie przyłożyć lufy rewolwerowej do czoła i pociągnąć za kurek! — albowiem coś, co nad moje siły, wstrzymuje mi dłoń, i, jakkolwiek przeklinam życie, nie mam dość siły fizycznej, żeby pójść w zapasy z śmiercią i zwyciężyć. Dla takichto, jak ja, i dla wszystkich, którzy pragną wyjść z cieśni bez pośmiertnych plotek, wynaleziono klub samobójców. Jak go zaś urządzone, jakie są jego dzieje, jakie jego rozgałęzienia w innych krajach, tego ja sam nie wiem; a to, co wiem, jest ściśle tajemnicą, nie wolno mi zatem nic powiedzieć. Co do wszystkich innych szczegółów służę wam moim doświadczeniem. Jeżeli istotnie pragniecie rozstać się z życiem, zaprowadzę was dziś wieczorem na zgromadzenie; a jeżeli nie dziś, to kiedyś w ciągu tego tygodnia łatwo pozbędziecie się życia. Jest teraz godzina jedenasta; o wpół do dwunastej najdalej musimy stąd wyjść tak, abyście pół godziny mieli czasu na zastanowienie się nad moim planem. To o wiele poważniejsze od ciastka, dodał, uśmiechając się nieznacznie, i o wiele, jeżeli się nie myle, smaczniejsze.

— Poważniejsze, zapewne, odrzekł pułkownik Geraldine; a skoro tak jest, użyj mi pan pięciu minut na rozmowę z moim przyjaciелеm Godallem.

— Oczywiście, odrzekł młody człowiek. Jeżeli trzeba, wyjdę.

— Bardziej nas tem zobowiązesz, rzekł pułkownik.

Czytelnia dla kobiet w Krakowie.

Jeżeli potrzeba przykładu, do jak pięknych rezultatów potrafi doprowadzić sama tylko dobra wola, nieuzbrojona prawie w środki materialne, zato w potężny zasób świętego zapału i ognia przekonania — to przykładem takim może być krakowska Czytelnia dla kobiet.

Grono pań, które instytucji tej przewodzą, to skromne pracowniczki, nie mogące rzucać na szalę publicznej sprawy, ni majątku, ni potęgi pozycji socyalnej, ni nawet mnóstwa czasu, kradzionego żmudnym obowiązkom życiowym — mimo to intenzywną, gorącą, z głębi serc kochających idącą pracą, stworzyły jedno z najjaśniejszych ognisk ruchu narodowego i postępowego w Krakowie.

Czytelnia dostarcza gromadzącym się w jej murach paniom rozrywek umysłowych, w jakie obfituje nie każde, choćby najwykwintniejsze towarzystwo literackie; podtrzymuje ducha ofiarności, filantropii, dochodzącej nieraz do granic szerokiej akcji obywatelskiej; a poza tem doprowadziło w ostatnich latach do skutku kilka dzieł, które w ruchu odrodzenia kobiet, a wogóle — odrodzenia naszego społeczeństwa — zapisały się, jako skarby nadzwyczaj chlubne. Czytelnia ta doprowadziła do skutku:

1. Pierwszy zjazd kobiet w Zakopanem.
2. Wydawnictwo czasopisma dla kobiet wiejskich, „Przodownica”; (drukuję się obecnie w 2000 egz.).
3. Założenie około 10 wypożyczalni bezpłatnych dla ludu.
4. Urządzenie Wystawy Gwiazdkowej przemysłu krajowego, zamkniętej dnia 2 stycznia 1902 r.
5. Założenie Towarzystwa dla popierania przemysłu swojego.



Pani Marya Siedlecka.

Ostatnie dwa punkty stoją wszystkim w tej chwili przed oczyma. Podnosząc je, Czytelnia dała raz jeszcze dowód, że trzyma dłoń na pulsie społeczeństwa, że jest wyrazem gorących uczuć i potrzeb narodu. Znajdują one tutaj bezpośrednie echo, silne i szczere, jakie tylko w sercu kobiecym odbić się może.

Odczuli to żywo wszyscy, którzy zwiedzali ostatnią wystawę przemysłową i było to uroczystością nie tylko wystawców, lecz znacznie szerszego kręgu społeczeństwa, gdy Komitet tej wystawy wręczył przewodniczącej Czytelnii, p. Maryi



Zebranie w „Czytelnia dla kobiet“ podczas wieczoru na cześć ś. p. Sewera Maciejowskiego.

(W głębi Chór Akademicki. — Specjalne zdjęcie przy świetle magnezyowym dla naszego pisma).

Siedleckiej, dar pamiątkowy. Z wdzięcznością uczczono w osobie przewodniczącej całą instytucję, instytucję, dla której o godniejszej reprezentantce marzyć nawet niepodobna. Panna Siedlecka jest dobrym duchem Czytelni, obrazem poświęcenia się dla idei, do którego zdolna jest chyba Polka i na które patrząc — nabieramy pełnej nadziei i wiary w przyszłość...

Przoduje ona każdej sprawie z pracowitością i abnegacją, przed którą czołem — kamienie węgielne jej starań patriotycznych posiada też niejedna instytucja Towarzystwa »Szkoly ludowej« — pomnikiem takiej pracy jest wydawana przez p. Siedlecką wraz z p. Błotnicką »Przodownica« dla włościanek.

Przy życiu tak rozlewnem i ogarniającem najaktualniejsze sprawy narodowego bytu, Czytelnia pod kierunkiem swej przewodniczącej prowadzi bardzo intensywne, umysłowe życie wewnętrzne. Oprócz zwyczajnych i nadzwyczajnych zebrań towarzyskich, odbyło się tu w krótkim sezonie obecnym kilkanaście wieczorków o znaczeniu ogólnem. Na jednym oddawano cześć ś. p. Sewerowi, b. przewodniczącemu sekcji literackiej Czytelni (odczyt wygłosił p. Feldman); inny był poświęcony pamięci Bałuckiego (odczyt wygłosił p. Bartoszewicz); na innym miał p. prof. Zdziechowski nadzwyczaj zajmujący wykład o współczesnych prądach mesyanicznych w Polsce.

I wszystko to bez wielkiego aparatu i pozy i pompy, do jakich nas przyzwyczajają inne korporacje galicyjskie, nawet bez znaczniejszych zasobów materialnych, przy pomocy tylko tego niewyczerpanego i niczem zastąpić się nie dającego kapitału, jakim jest dobra wola i prawdziwy, nie frazeologiczny patriotyzm. Życzymy też pięknej tej instytucji najbujniejszych plonów użytecznej jej działalności, oraz jak najwięcej naśladowczyń na prowincyi.

Z PRZEMYSŁA.

Piszą nam z Przemysła:

Do najpopularniejszych osobistości w naszym grodzie należy sędziwy, b. burmistrz, Dr Dworski, którego miasto w uznaniu zasług niedawno zaszczyściło honorowem obywatelstwem

Urodzony 12 grudnia 1822 we Lwowie, Dworski ukończył tamże uniwersytet w r. 1844; promowany został na doktora praw w 49, a w 55 mianowany adwokatem w Przemysłu. Odtąd losy jego zrosły się z tem miastem. Od 1865 jest członkiem rady miejskiej, od 1867 do 1872 zastępcą burmistrza, a od 1881—1901 czyli przez dwadzieścia lat, burmistrzem.

25 października 1901, po wniesionej rezygnacji ustąpił z zajmowanego urzędu — obdarzony honorowem obywatelstwem.

Dr Dworski posłował trzykrotnie do Rady państwa z kuryi miejskiej, Przemysł-Gródek, ale dla nawału zajęć składał kilkakrotnie mandat, ostatni w 1880.

W roku 1889, wybrany w Przemysłu posłem do Sejmu krajowego — do 1895, zastępca członka Wydziału krajowego, a ponownie wybrany posłował do r. 1890. Od r. 1872 do założenia w roku 1890 adwokatury był prezydentem Rady dyscyplinarnej Izb adwokatów przemyskiej i samborskiej.

Od szeregu lat jest prezesem Wydziału przemyskiej Kasy oszczędności.

Dr A. Dworski w ciągu długoletniej swej pracy dla dobra miasta zjednał sobie powszechną cześć i sympatyę mieszkańców — a nie było to łatwa praca w mieście, gdzie załoga wojskowa chciałaby rządzić wszechwładnie i w ciągłe scysy z ludnością »cywilną« popada. X.

KARTA ŻAŁOBNA.



X. Justyn Szafłarski.

Ksiądz Justyn Szafłarski.

Nie łatwo jest wybić się zakonnikowi z pomiędzy szarego tłumu, ponad zwykły poziom. Przynosi to z sobą powołanie i sposób życia. A przecież zmarły w listopadzie zeszłego roku, Ksiądz Justyn Szafłarski przed laty 30 należał do najpopularniejszych osób we Lwowie. Niezwykłą słodyczą i uprzejmością w obejściu, jakoteż sympatyczną twarzą swoją zdobywał sobie serca wszystkich. Zawadywał podówczas największą z parafii lwowskich, przy kościele św. Andrzeja.

Ś. p. Justyn Szafłarski urodził się w r. 1821 w Nowym Targu, gdzie ukończył szkoły ludowe. Gimnazjum skończył w Podolińcu na Spizu, filozofię w Tarnopolu, a wydział teologiczny we Lwowie. Pomimo wybitnych zdolności, wstąpił do najsympatyczniejszego dla nas zakonu: do Bern-

nardynów, gdzie w krótkim czasie przebiegł wszystkie stopnie godności zakonnych. Był przełożonym klasztorów w Gwoźdźcu, Samborze, Lwowie, Sokalu, a przed kilku laty w Krakowie, a w każdym z nich pozostawił ślady swej dodatniej działalności, dzięki niezwykłym zdolnościom administracyjnym. Za dwoma nawrotami był prowincyałem zakonu. Przed 4 laty obchodził 50 letni jubileusz swego kapłaństwa.

Każdy Bernardyn-Polak jest patriotą, był też nim i ksiądz Justyn. Kiedy w r. 1847 za czasów Stadiona rodacy nasi jęczeli w więzieniu koszar na Żółkiewskiem i pozbawieni byli pociechy religijnej, ś. p. Ks. Justyn dobrowolnie zobowiązał się, że będzie ich odwiedzał. Wystawiono w suterenach koszar prowizoryczny ołtarz, a chociaż z powodu mrozu woda i wino lodowaciały w kielichu, nie odstraszyło to polskiego kapłana, bo ogrzewała go wiara i poczucie poświęcenia się dla współbraci.

W r. 1862 i 1863 nabożeństwami i kazaniami podnosił w Samborze, jako gwardyan, ducha i nadzieje narodu..

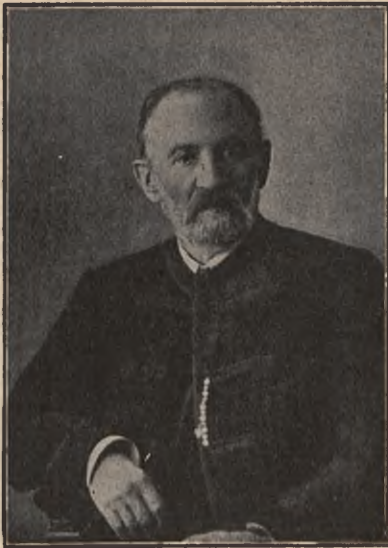
Był w przyjaźni z Andrzejem Grabowskim, który uwiecznił go pędzlem. Dzieło to — jeden z najlepszych portretów artysty — zwracało w swoim czasie uwagę wszystkich znawców na siebie, a obecnie znajduje się w posiadaniu rodziny Lerskich we Lwowie.

Ś. p. Ksiądz Justyn był ostatnim z Bernardynów, którzy widzieli jak Hammerstein w r. 1848 zabrał klasztorowi św. Andrzeja starożytne działa*) które wprawdzie nie były niebezpieczne dla rządu, ale miały wysoką archeologiczną wartość. Marzył o tem, czy wobec zmienionych prądów w kraju i rządzie, nie dałoby się odzyskać tych działa dla klasztoru lub gminy miasta Lwowa, lecz przedwstępne dochodzenia nie uwieńczyły tych marzeń, bo działa podobno powędrowały gdzieś do Wiednia...

Genialny Jan Lam krótko przed śmiercią swoją w kronikach swoich z największą czcią wspominał o »ukochanym Ks. Justynie«, który kilkakrotnie niósł mu pociechę religijną.

Niezliczona rzesza wiernych pomimo ulewnego deszczu odprowadziła zwłoki ukochanego kapłana na cmentarz Łyczakowski, gdzie spoczęły w grobie familijnym.

*. O tych działach wspomina Jan Lam w opowiadaniu swem: »Z dni trwogi«.



Dr A. Dworski.

SPORT.

Z „Sokoła“ krakowskiego.

W grudniu z. r. odbył się w „Sokole“ krakowskim wieczorek gimnastyczny, przeplatany produkcjami wokalmuzycznymi chóru i orkiestry sokolej.

Na część gimnastyczną złożyli się wszyscy wychowankowie ćwiczeń cielesnych naszego gniazda, począwszy od dzieci obojga płci, dziewczątek i młodzieży, a skończywszy na członkach i gronie nauczycielskim. Całość wypadła składowo i imponująco, zważywszy, że ogółem brało udział około 150 głów.

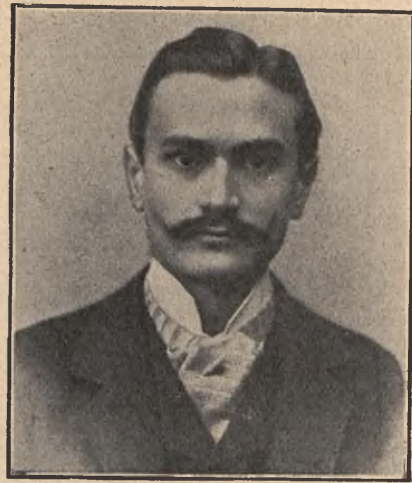
Ćwiczenia gimnastyczne rozpoczęły zabawy dzieci obojga płci do lat 10. Z jaką pewnością i zrozumieniem rzeczy bawili się ci milusińscy, zaiste podziwiać trzeba, toteż nie szczędzono im hucznych oklasków. Obojętni na setki widzów, nie mieli najmniejszej ochoty zejść z pola popisu.

Poważnie, lecz wdzięcznie przy dźwiękach muzyki zjawił się zastęp dziewczątek do lat 18, wywołujący nadzwyczaj miłe wrażenie. Gimnastyka szwedzka w zastosowaniu do reżów, w kształcie kół, gniazd, krzyża i innych formacji była bardzo udatnym i efektownym pomysłem na popis, a ćwiczenia trójkowe na belku z łękami, zakończone wdzięczną grupą (patrz. ryc. str. 36) wykazały w całej pełni sumienną pracę „Sokoła“ krakowskiego. Z kolei nastąpił popis 60 z górą młodzieży, t. zw. uczniów Sokoła. Swoboda, świeżość i humor tej wiele obiecującej latorośli porwały wszystkich w uniesieniu prawdziwej radości, że ci nie zawiodą pokładanych w nich nadziei.

Wieczorek zakończyły wreszcie ćwiczenia samego grona nauczycielskiego, oraz prześliczne ćwiczenia maczugami, członków w takt walca. Tu zerwała się prawdziwa burza oklasków za tak zręczne i składowe wykonanie, pełne ruchów estetycznych, miękkich, okrągłych, a przytem wymagających wiele słuchu muzycznego, co właśnie największe robiło wrażenie. Piękno ciała w piękne pieśni, muzyki, to największe i najwięcej harmonijne piękno!

Strzelnica.

Przed trzema laty zawiązało się w „Sokole“ krakowskim Towarzystwo strzeleckie, jako osobny oddział tejże instytucji — a dziś jest ono właściwie jedynym tego rodzaju sportowym klubem w Galicyi. Liczy około 100 członków, nie



Tadeusz Kończyński.

Autor premiery »Kajetan Oruga« (Teatr krakowski, sobota 11. stycznia).

wspominając o mnóstwie przejezdnych z Królestwa, Księstwa i Litwy, którzy zwłaszcza podczas rozgrywania turniejów strzelniczych zawsze chętnie i licznie się zjawiają. O ruchliwości tego oddziału mówią najlepiej cyfry, jeśli się zważy, że dotychczas dano przeszło 60.000 strzałów z samych karabinków, nie mówiąc o pistoletach.

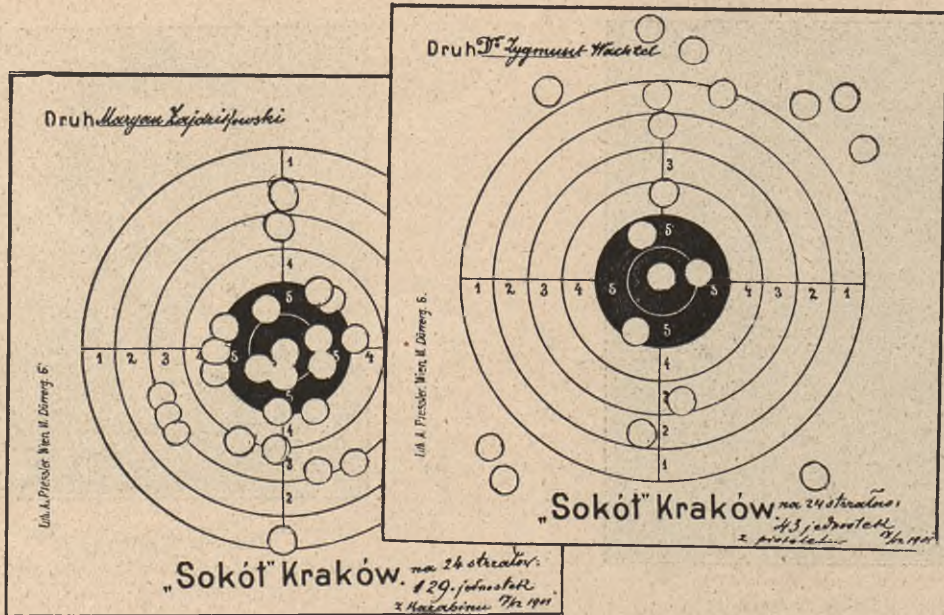


Druh Zajdzikowski.



Druh Dr Zygmunt Wachtel.

Bo też wciąż odbywa się nauka, a przytem nadzwyczaj zajmująco udziela się jej, dzięki ciągle nowym pomysłom gospodarza strzelnicy, p. L. Sippla. Między innymi wielką taką atrakcją jest urządzenie ruchomej tarczy, umożliwiające doskonale *training* strzelania, tak potrzebny w praktycznym zastosowaniu podczas polowań.



Tarcze mistrzów na rok 1902 oddziału strzeleckiego „Sokoła” krak.

W grudniu ubiegłego roku odbył się trzeci z kolei turniej strzelniczy w rozgrywaniu walki o mistrzostwo z karabinka i pistoletu. Meta wynosiła 21 kroków. Do mistrzostwa z karabinka zgłosiło się 14 uczestników z Krakowa i Królestwa. Mistrzostwo zdobył pan Marian Zajdowski, zrobiwszy 129 jednostek na 24 strzałach; drugi i trzeci, pp. Międzyński i Sieber dzielnie się trzymali, robiąc 125 i 124 jednostek.

Mistrzem zaś z pistoletu został p. Dr Zygmunt Wachtel, pobiwszy na 24 strzałach 43 jednostkami p. Szczepanowicza (35) i przeszłorocznego zwycięzcę, p. Sippl, który tym razem osiągnął zaledwie 17 jednostek.

Wogóle dawnym mistrzom i innym dzielnym strzelcom nie wiodło się czegoś, jeśli jeszcze wspomnę o p. Drze Wernikowskim, gospodarzu krakowskiego klubu myśliwskiego „Wista”. W porównaniu z poprzednimi latami, strzelanie z karabinka poszło w górę, wobec 113 i 125 jednostek z lat 1899 i 1900. Zato wyniki pistoletu pogorszyły się, wobec dawniejszych 48 i 51 punktów.

W każdym razie tegoroczny turniej znamionuje najlepiej żywotność tego rodzaju oddziału sportowego, który, jak wiele innych w naszym gnieździe, świetnie rozwija się, otaczany troskliwie skrzydłami „Sokoła”.



Grupa uczennic prywatnych „Sokoła” krakowskiego na popisie swym podczas wieczorku gimnastycznego.

(Specjalne zdjęcie dla naszego pisma przy świetle magnezyowem).



Norrström w Stockholmie.

Podróż malownicza SVERIGE.

I.

Obce słowo, obcy, daleki świat, gdzieś na zamarzelj północy. Myśmy ich znali dawniej, niegdyś; rozbrzmiewała cała Europa sławą wojowniczych królów szwedzkich i sławy uczonej, emancypowanej królowej Krystyny. Miewaliśmy jednego rodu królów i królowe, wojował z nimi pod Czarneckim p. Pasek — i jadamy jeszcze dzisiaj »kaszę ze szwedami«...

Potem zapomniano w Europie o królach i rajtarach szwedzkich, nikt nie pytał o to, gdzie ten kraj leży, i ani pomyślał kto o tem, żeby się tam dostać. Bo i po co? cóż tam może być? lód i śnieg, niedźwiedz w górach, a bieda i nędza w równinach...

Ale potem, zwolna, od czasu do czasu znowu zaczęły w Europie rozbrzmiewać nazwiska: Linne... Berzelius... Nordenskjöld... Nansen... Andree... światło zaczęło iść z północy... wyłonił się odrębny świat skandynawski, literatura szwedzka, norwęgiska, duńska, Ibsen, Björnson, Strindberg, zapalniali nad umysłami... Ława turystów zaczęła się kierować na północ, Europa odkrywa tam świat nowy, pełen uroków, europejski, a zupełnie odmienny, nietylko od reszty Europy, ale od siebie

samego. Szwecya historyczna, a Szwecya dzisiejsza: to światy nie podobne do siebie. I nie ma kraju na całym globie, któryby taką wzbudzał ciekawość i któryby podróżników takim niezapomnianem napawał zadowoleniem, jak Norwegia i Szwecya.

Mało o nich u nas pisano, mało je znamy. Więc zapraszamy czytelników na wycieczkę do Szwecyi. Odbędziemy podróż malowniczą, bez planu, bez systemu, nie podług Baedekera; będziemy tylko słuchać i patrzeć i wchłaniać wrażenia życia, zapisywać przygody, żeby się w tym nowym świecie znaleźć jak w domu.

Różne drogi wiodą do Stockholmu; dla nas najbliższej na Berlin. Nic to nie szkodzi; warto się zatrzymać i pomyśleć sobie tam to, co Macaulay każe myśleć o Londynie pielgrzymowi, który kiedyś będzie siedział na ruinach Westminstera. Przypomina się to widzenie, i ogarnia podróżnika gorące życzenie oglądania marności tego świata, na ruinach Berlina.

Potworne, a potężne miasto; pełne dzieł na wielkie rozmiary, a wstrętne; wspaniałe, nowożytnie, a na wszystkim cięży tam sucha formuła,



Plac Sturego z ulicą Jarla w Stockholmie.

laska i uniform Kurfürstów, Fritzów i Wilhelmów. Niezmierne bogactwo, przemysł, sztuka nie zdołały tam usunąć znamion nieuczciwego dorobkowiecza historii i polityki. Nie można jednak nie podziwiać dzieł pracy wielkiego narodu i pragnąć, żeby się przecież wyzwolił z koszarowych i junkierskich więzów, a odnalazł siebie. Dla nas są w Berlinie na każdym kroku pomniki upokorzeń, obelg i gwałtów...

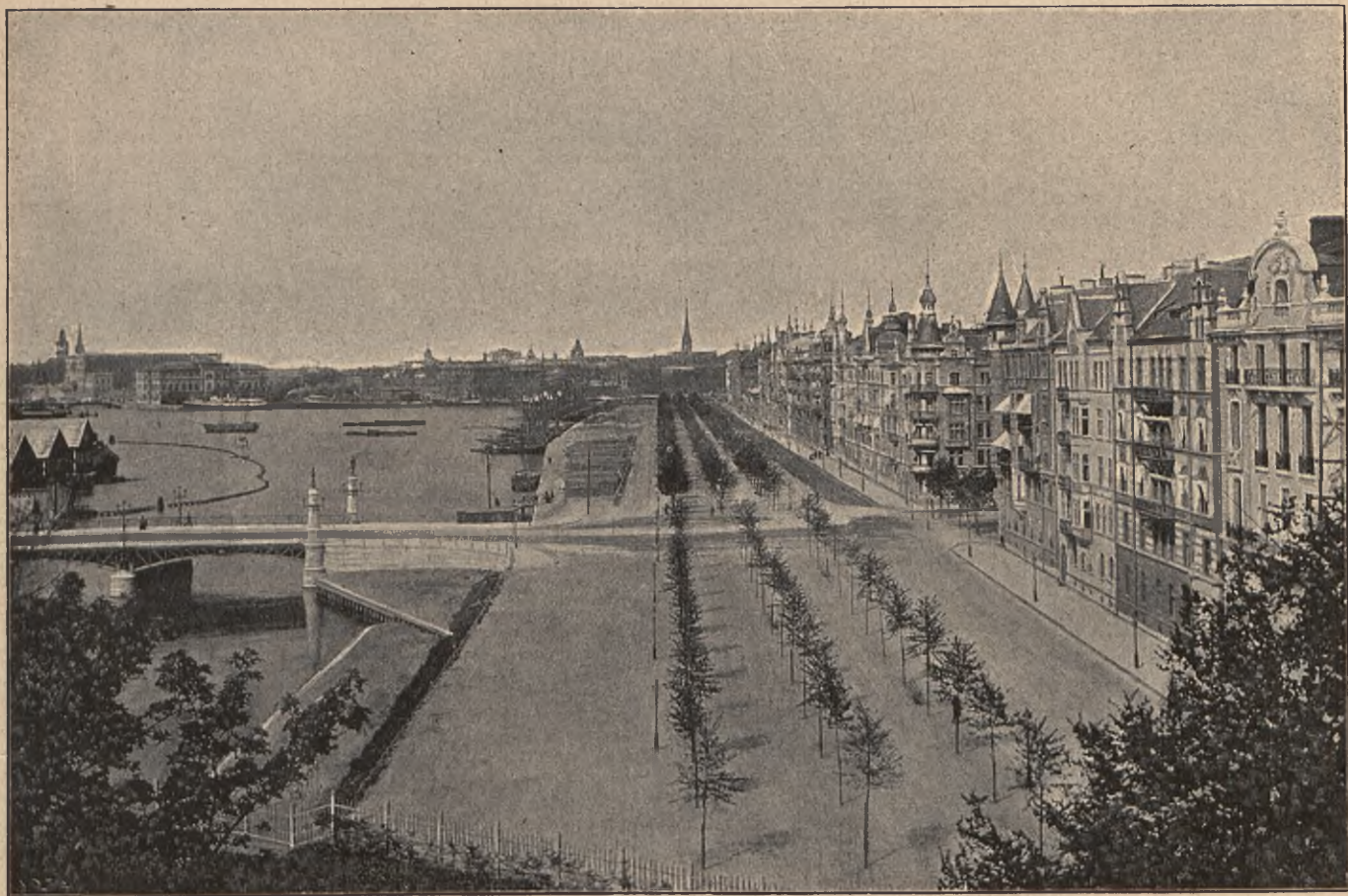
Z Berlina na Sarnitz, Trelleborg staje się w Stockholmie w 24 godzin; w Stralsund cały pociąg kolejowy wjeżdża na okręt-ponton, który go przez zatokę na ląd przeprowia. Ze Sarnitz płynie się okrętem, już szwedzkim sześć godzin do Trelleborg, na południową kończynę Szwecyi, ztamtań za dwanaście godzin wita się Stockholm.

II.

Kiedy w r. 1873 Szwecya wystąpiła na powszechnej wystawie w Wiedniu, była to istna rewolucya. Powiedziano wówczas: gdyby tam kraj miał własne kopalnie węgla, zakasowałby Anglię. Kto wie, czy dzisiaj już jej nie zakasował. Wystarczy przebyć tam kilka tygodni, żeby się pytać, powróciwszy: znasz ty ten kraj, gdzie nie ma komarów (za to homarów, jak u nas wróbli), gdzie nie ma socjalistów, chociaż są; gdzie król jest powszechnie, przez wszystkich kochany; gdzie stara, historyczna szlachta, »rycerstwo« naczelne przy tronie zajmuje miejsce, tak w życiu, jak

i w grobowcach po kościołach — a gdzie wszystko co się dzieje, dzieje się dla dobra całego ludu, a w sejmie dwie trzecie posłów — chłopci, gdzie niema sądów przysięgłych; gdzie niema szynków i niema żebraków... każdy szczegół zaobserwowany w podróży to objaśnienie tych pytań. Jedzie się wygodnie, jak nigdzie zresztą w Europie. Oni tam, ani belgijskich »waggon restaurant«, ani angielskich »slepingów« nie zaprowadzili; inaczej się urządzili, po swojemu. Są stacye osobne na śniadanie, na obiad, na kolację, ceny bajecznie niskie, a w korytarzach wagonów umieszczone szklanki i flaszki, które konduktorzy świeżą wodą napełniają. Wszelkie przyrządy do mycia, środki antyseptyczne znajdują się w obfitości, w każdej klasie, a za łóżko wymienione płaci się za noc 3 korony. Już do tych rzeczy nie jesteśmy w Europie przyzwyczajeni...

Stajemy w Stokholmie, spieszymy do omnibusu hotelowego, ale tłum zastępuje nam drogę. Tysiące ludu wołają hurra, wiewają chustkami. Co to znaczy? Oto z nami przyjechała Krystyna Nilson, a cały Stokholm wyruszył na dworzec, żeby powitać swoją ulubienicę, lubo ona już od wielu lat nie śpiewa. Wyglądała na 40-letnią, przystojną, dystygowana, dosyć słuszną. Spotykaliśmy ją potem w różnych towarzystwach, a także w Upsali na lunchu u gubernatora. I z kąd taka owacya? Czy ci podbiegunowi ludzie tak się zapalają dla sztuki? To było pierwsze nasze w Stokholmie spostrzeżenie i wrażenie. A drugie, że w tym kli-



Promenada nad brzegiem morza w Stockholmie.

macie ludzkie słowiki pięknie się hodują i mają głos zahartowany przeciw wszelkim dokuczliwościom i niebezpieczeństwom klimatu. A klimat tutaj alpejski, albo zakopiański. W lecie za dnia, słońce grzeje, a od morza wieje chłodzący wiatr, więc nie ma komarów. Noce zaś chłodne, czasem zimne.

Noce? to jest tylko utarte słowo, dźwięk — bo nocy nie ma. Przybyliśmy wieczorem 23. czerwca, »mittsommer«, nasze przesilenie letnie, a w Szwecyi to największe święto. Zimą mają nie cięższą, niż u nas, ale długą. Nie dokucza im, bo nie mają czasu myśleć o tem, nie dają się zimie, pracują i bawią się, po domśch, w salonach i pod sklepem niebieskim, na łyżwach, na nartach (ski) na sankach po ziemi' na śniegu i po lodzie na morzu... Niemniej jednak nadejściem lata cieszą się jak dzieci, jakby ludzie pierwotni. Mają bowiem tylko dwie pory, zimę i lato, w zimie noce straszne długie, lato bez nocy. Magistrat w Stokholmie odkręca 15. maja wszystkie latarnie i składa w magazynie, bo do 15. sierpnia nie potrzeba miasto oświetlać. W tym czasie około północy, zaledwo zaczyna się zmierzchać, a już pokazuje się zorza poranna i znowu się rozjaśnia. My w lecie, powiadają Szwedzi, właściwie nie śpiemy wcale... My z Europy istotnie w pierwszych dniach nie uczuwalimy wcale potrzeby snu; bywało już dobrze po północy a jeszcze nie mieliśmy wrażenia, jakoby to już był wieczór, czy noc... Po nadbrzeżu, na strandach ludzie całą noc się

przechadzają. Około godziny 2 w nocy spotkałiśmy króla z następcą tronu, jechali stępo, fiakrem na spacer. Było tak jasno, że jako już znajomi, bo poprzednio byliśmy w pałacu królewskim przedstawiani, przystanęliśmy, oddaliśmy i otrzymaliśmy bardzo uprzejmy ukłon. Z tego wałęsania się w świętojańską noc nie trzeba jednak wnosić, jakoby Szwedzi oddawali się cyganeryi. Tak zwane nocne życie paryskie, czy berlińskie wcale tam nie jest znanem. O północy muszą być wszystkie bez wyjątku lokale publiczne zamknięte. Jest to kraj nieco purytański, ale bez zewnętrzności, angielskiego świętoszkowstwa. Ludność pracująca idzie spać o północy; dzień w mieście zaczyna się o godzinie 9 rano, rychlej żaden sklep, żadna kawiarnia nie otwiera. Co prawda, w lecie trudno przychodzi zastosować się do tego trybu, nie chce się odchodzić z tarasów i z parków nadwodnych, nie można się dosyć napatrzeć krajobrazom nocnym, a jasnym, które się w całym mieście wszędzie roztwierają.

III.

Północna Wenecya, tak nieraz nazywają Stockholm ludzie, którzy chyba ani Wenecyi, ani Stockholmu nie znają. Wenecya, to jakby szkła-
tułka, a w niej skamieniałość, nie dotykać, bo się rozsypie. Miasto wspomnień, pamiątek, wspaniałych, osobliwych, a ustanowionych nad stojącymi wodami brudnych kanałów.

C. d. n.



Grand Hotel.

Quai w Stockholmie.

Muzeum narodowe.



Port Św. Błażeja w Stockholmie, (strona południowa).

Nakładem Redakcyi »Głosu Narodu«.

W Drukarni »Czasu« w Krakowie.

**Największa w Austro-Węgrzech fabryka tutek cygaretowych Rudolfa Herliczki w Krakowie
 poleca swoje znakomite wyroby. Wszędzie do nabycia.**